

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEMI ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów n/W., niedziela 26 sierpnia 1951 r.

Nr 31

Ks. dr M. Rzeszewski.

W CHOROBY

Nierzadko słyszy się skargę: modliłem się długo o uwolnienie z tego kłopotu i o pokój duchowy. Nie wiem dlaczego nie zostałem wysłuchany. Niektórzy tracą nawet wiarę z tego powodu, zagoryczają się, przestają się modlić i buntują się przeciw Bogu. Jest to problem bardzo realny i powodujący dużo przykrości. Stanowi on część wielkiego zagadnienia cierpienia wprowadzającego w zakłopotanie wielu myślicieli wszystkich czasów. Nie zamierzając zagadnienia tego rozważać w całości, chciałbym podać kilka praktycznych myśli w nadziei, że mogą one rzucić promień światła tym, którzy idą po ciemnej i często samotnej ścieżce cierpienia.

Wiara powinna skupiać się raczej na zagadnieniu kim jest Bóg, niż na tym, co robi lub nie robi. „Od wieku aż do wieku Tyś jest Bóg; Jezus Chrystus ten sam wczoraj, dziś i na wieki”. Poza wszelkimi zmieniającymi się scenami życia, poza światem wydającym się czasem tak bezmiernym i strasznym, poza historią; Początkiem i Końcem. Pierwszym i Ostatnim jest niezmienny Bóg, będący jednocześnie światłem i miłością. Opowiadał mi ktoś, że w najciemniejszej chwili życia, gdy wskutek bólu i rozpacz był bliski załamania nerwowego, myślą, która powstrzymała go od samobójstwa, była myśl od realności Boga. Myśl ta jest skałą, na której oprzeć można stopy i trwać wśród największych burz nawiedzających duszę.

Wielki dramat o problemie cierpienia, jakim jest księga Joba opowiada o człowieku dotkniętym straszliwie pod względem cielesnym i materialnym, niezrozumianym i źle sądzonym przez bliskich. Job wylewa swą duszę w skargach i wątpliwościach. Ale w tym kontraście z ciemnością dwie błyskawice przenikają jego umęczoną duszę: „Wiem, że Odkupiciel mój żyje” i „Choćby mnie zabił, w Nim ufać będę”. Pomimo bólu i ciemności, które groziły zupełnym pogrążeniem jego duszy, pomimo iż nie rozumiał tajemnicy tego, co nań spadało, gdzieś w ciemnym, tajemniczym wszechświecie widział Odkupiciela, który jest Bogiem. Pewnego dnia pękła chmura i „zobacz Boga w mym ciebie”. Job nie wiedział, że za jego cierpieniami był szatan. Mylił się i dziwił jak wszyscy ludzie cierpiący, lecz w końcu Bóg mu się ukazał.

Można by przeżycia Joba porównać z przeżyciami św. Pawła. Pisze on: „Dany mi jest w ciało kolec, anioł szatana, aby mię bił pięściami. Nękany od niego prosiłem trzykrotnie Pana, aby ode mnie odstąpił. Ale mi rzekł: Dosyć masz łaski mojej, bo moc w słabości pokazuje się doskonałą”. (II do Kor. XII, 7—9). Jakakolwiek to była skarga, coś bolesnego trapiło jego ciało. Była to może choroba chroniczna i wielka próba, nie została usunięta w odpowiedzi na modlitwę. W próbie tej dowiedział się najpierw, że broni go ona od tego wielkiego przekleństwa natury ludzkiej, od pychy. Potem odkrył nowe objawienie łaski i siły Chrystusa. Warto zauważyć, że Bóg interesuje się zdrowiem i szczęściem swych dzieci, a choroba i ból są ostatecznie dziełem szatana lub złych ludzi. Są zaś dopuszczone przez Boga, aby dzieci Jego miały w nich bezcenną lekcję.

Najpierw nie cierpienie samo w sobie szkodzi człowiekowi, ale raczej postawa, jaką on wobec niego zajmuje. Nie można przyjmować cierpienia nerwowych i uczuciowych, które głównie nas interesują, z opuszczonymi rękoma, z rezygnacją, bez żadnego wysiłku leczniczego. Nie należy patrzeć na chorobę, jako na stan normalny. Szukamy wszelkich środków wyzdrowienia, i w sposób naturalny i słuszny modlimy się o uwolnienie. To jednak różni się od ciągłego narzekania na Pana Boga. W życiu chrześcijanina żyjącego wiarą nic nie może wyjść na złe bez zezwolenia miłującego Ojca: „Miłującym Boga wszystko pomaga ku dobremu” zarówno przeżycia przykre, jak i szczęśliwe. Ten sam ogień, co hartuje glinę, oczyszcza ciało.

PANNO WIERNA



Jeżeli wyleczenie nie przychodzi, wówczas należy przyjąć chorobę jako część próby życia, prowadzącej raczej do wzbogacenia, niż do zubożenia ducha. Cierpienie w ścisłym tego słowa znaczeniu próbuje materiał, z którego jesteśmy zbudowani. Czy będzie ono przekleństwem czy błogosławieństwem zależy od reakcji człowieka, a nie od rodzaju cierpienia. Bunt zagorycza człowieka i zwiększa cierpienie. Przyjmując je jako część koniecznej szkoły życia, poznajemy znaczenie siły w słabości, a charakter pogłębia się i wzbogaca.

Po drugie, jeśli się jest pojętnym i skorym do nauki, można się w cierpieniu nie jednego nauczyć. Jest w nim wezwanie do zastanowienia się nad sobą: czy w sposobie życia, pod względem fizycznym, psychicznym lub duchowym nie było czegoś niewłaściwego? Coś może potrzebuje naprawy. A może w przeszłości jest jakaś wina nieprzebaczona? Czy w postawie wobec bliźnich lub wobec Boga nie ma czegoś niewłaściwego. W niejednym wypadku neurozy stwierdzono, że chory żywi nienawiść przeciw znajomym lub krewnym, a choć usiłował ją stłumić lub o niej zapomnieć, nigdy uczciwie nie spojrzał w oczy sytuacji. Chrześcijanin wie, że zło nie zostaje bezkarne, dlatego nie powinien ani dnia zostawać w grzechu niewyznanym i nieprzebaczone.

Jeżeli choroba prowadzi do oczyszczenia duszy to jest wielkim zyskiem. Wszelkiego rodzaju cierpienie może nauczyć lepszego zrozumienia siebie samego. Dotyczy to zwłaszcza chorób psychicznych lub nerwowych. Analiza ujawnia zarówno złe, wprowadzające w błąd skłonności ludzkiego serca, jak i możliwości dobrych i pozytywnych osiągnięć. Niepowodzenie spotyka ludzi tak często, bo nie znają sił działających w głębi ich duszy. Za tym poznaniem przychodzi uwolnienie: „Poznać prawdę i prawdę was wyzwoli”. Wszelka prawda, włącznie z prawdą o nas samych, ma skutek wyzwalaający. Ludzie są nieraz tak ślepi na wiele rzeczy w sobie, że dopiero choroba otwiera im oczy. Po trzecie, cierpienie toruje drogę do lepszego współczucia i pełniejszego zrozumienia innych. Nikt nie umie tak współczuć, jak ci, którzy sami cierpieli. Nawet o Chrystusie mówi święty Paweł: „Bo nie mamy Arcykapłana, który by nie mógł się litować nad słabościami naszymi, lecz doświadczono go we wszystkim na podobieństwo z nami” (Zyd. IV, 10).

Jest jeszcze inny sposób wykorzystania cierpienia. Wiadomo ile to znaczy, gdy w trudnościach powie nam ktoś bliski: ja wiem jak ci ciężko bo i ja to przeszedłem. Jeżeli cierpiący zwraca się ku sobie, rozczuła się nad sobą zbyt lub zagorycza, nie wykorzysta choroby na dobro. Niejeden nauczył się wiele i zyskał wiele gdy stanął nagle wobec konieczności wsparcia innych

w nieszczęściu. Służąc innym w potrzebie zapomniał o własnych kłopotach. Ludzie najtwardsi i najmniej współczujący to często ci, którzy chętniej się, że ani dnia nie chorowali. Potrafią oni pysznić się z tego, że im tak dobrze i patrz na chorobę, zwłaszcza nerwową, jako na słabość.

Zajawszy słuszną postawę wobec cierpienia, przyjmujemy swą sytuację życiową jako konieczną część dyscypliny życia. Wynika stąd dalszy skutek. Chory psychicznie lub cieleśnie przestaje zajmować postawę negatywną wobec życia. Nie o to chodzi, czego zrobić nie można, ale co wbrew brakom zrobić można. Jak w innych wypadkach trudności są i tu wyznaniem. Nie wiele jest pożytku ze skarg wobec przeszkód tak, jak i z udawania, że nie można muru głową rozbić. Jeśli trudności usunąć nie można, należy je obejść. Jeżeli mamy ograniczenia w pewnym kierunku, to są możliwości osiągnięć w innych kierunkach. Iluż ludzi potrzebuje naszej modlitwy, czy naszego przykładu. Przykład odwagi wobec trudności jest dla innych natchnieniem na podobnej drodze. Ból uczy pokory i cierpliwości, której bez tego niejeden nigdy by się nie nauczył. Albo nas zbliża do Boga, albo od Niego oddala — od nas zależy alternatywa. Dzieje znają ludzi, którzy umiemy cieszyć się z cierpienia. Kto doświadczył tego szczebla, jest w szkole cierpienia wysoko zaawansowany. Nauczył się, że droga Krzyża jest drogą chwały.

Józef Baranowski.

Poemat sierpniowy

Na pięcioliniach polnych drutów
Jaskółki kreślą nuty...
Wiejski krajobraz żółtych ściernisk
Poranną mgłą zasnut.

Krzak leśnych jeżyn w pajęczynach
W splekocie dnia sierpniowym.
Niekiedy wiatr napłynie echem
Piosenki pastuszkowej.

Dogasa lato brzoź poszumem.
Chce być piękniejsze jeszcze...
Dopóki przedświt przedjesienny —
Nie zaszeleści deszczem.

O, śpiewne hymny jaskółcze.
Słoneczne dni pożegnania —
Jakże się z wami serdecznie
Żyłem — do chwili rozstania. —

O, miedze łąk kolorowych.
O, wy poszumne topole.
O, drogi w bezkres biegnące —
Łanami szumiące pola. —

Już żęte ziół płowe łąny.
Już czas pożegnać się z wami —
A przecież niedawno temu
Witałem was wspomnieniami...

Bo piękno i zgasły czar lata
Trzeba wspomnieniem utrwalić. —
Nie tylko wplatać w pieśń wierszy
Błask tęczy... szept srebrnej fali —

ŹRÓDŁA WIARY

Św. Łukasz

Autorytetem trzeciej z kolei Ewangelii był św. Łukasz. Pochodził on z rodziny pogańskiej, zamieszkałej w Antiochii Syryjskiej. Św. Paweł nazywał Łukasza „lekarzem najmiłszym”. Właściwości języka trzeciej Ewangelii i Dziejów Apostolskich wskazują, że autor był dobrze obeznany ze sztuką lekarską, posługuje się bowiem bardzo często wyrazami technicznymi, które spotykamy jedynie u starożytnych pisarzy medycyny. Z tego też powodu sądzi się, że św. Łukasz był lekarzem. Przyjawszy naukę Chrystusa, stał się wiernym uczniem i towarzyszem św. Pawła. Odbył z nim w roku 50—51 podróż misyjną do Macedonii. We Filipach prawdopodobnie pozostał i tam zetknął się z nim św. Paweł pod koniec następnej podróży w roku 58. Od tej chwili Łukasz stał się nieodłącznym towarzyszem apostoła narodów aż do jego śmierci. O dalszych losach ewangelisty nic pewnego nie wiemy. Tradycja mówi, że żył w bezżeństwie i doczekał późnego wieku 84 lat.

Liczne napomknienia Ojców Apostolskich świadczą, że Ewangelia św. Łukasza była przyjęta i używana przez wszystkich już pod koniec pierwszego i na początku drugiego wieku.

Św. Łukasz nie był naocznym świadkiem życia i działalności Zbawiciela. Pracę swoją oparł na nauczaniu św. Pawła i na tym, co usłyszał zwła-

szcza od Najświętszej Maryi Panny, od Piotra i Jakuba. W przedmowie do swej Ewangelii wyraźnie zaznacza, że „wszystkie przez siebie opowiedziane wydarzenia zbadał pilnie” i spisał je w „należyтым porządku”. Z tego wynika, że był sumiennym historykiem. Księgi jego powstały podczas pobytu w Rzymie, najpierw Ewangelia a potem Dzieje. Ogólnie przypuszcza się, że Ewangelia powstała około r. 62. Pisana jest pięknym językiem greckim, choć prostym stylem. Zdradza to hellenistyczne wykształcenie autora.

Św. Łukasz zamierzał po dokładnym zbadaniu opisać życie i czyny Jezusa i to w tym celu, aby wierni przekonali się o pewności tych prawd i utwierdzili się w wierze. Podkreśla przy tym powszechność Kościoła Chrystusowego, który bez żadnej różnicy obejmuje pogan i Żydów. Przez ten kierunek myśli Ewangelia św. Łukasza jest silnym wyrazem powszechności nauki Chrystusa i nawet w większym stopniu niż inne Ewangelie. Łukasz, podobnie jak św. Paweł, podkreśla, że Chrystus jest Zbawcą, że dla grzeszników jest miłosiernym bez granic.

Ewangelia św. Łukasza powstała jako trzecia z rzędu po Ewangelii św. Mateusza i po Marku. Św. Łukasz czerpał z źródeł pewnych, dlatego jego Ewangelia zasługuje całkowicie na wiarę, jaką darzy ją zawsze Kościół święty.

K. Ł.

CHRYSTUS DAJE PRAWDZIWE ŻYCIE

Pewien król zawezwał najslawniejszego mędrca swego kraju i takie postawił mu pytanie: „Powiedz mi, kim jest człowiek?” Mędrzec zastanowił się, a potem powiedział: „Człowiek jest niewolnikiem śmierci, gościem i wędrowcem na ziemi. Jest niewolnikiem śmierci, bo nie może przed nią uciec jak niewolnik nie mógł zbiec od swego pana. Jest gościem na ziemi, bo skoro tylko odejdzie od stołu życia, idzie w zapomnienie. Jest też i wędrowcem na tej ziemi, gdyż w dzień i w noc, we śnie i na jawie, we wszystkich swoich poczynaniach wędruje niepowstrzymanie w kierunku śmierci.”

Kościół uznaje i to życie, ale nie przestaje swym wiernym mówić o jnym życiu, o życiu prawdziwym — tym, które daje Chrystus Pan.

Na zamku w Schönbrunn dogorywał Napoleon II. Przed śmiercią kazał sobie sprowadzić złotą kołyskę, którą na jego urodziny sprawiła ludność Paryża. Z łóża boleści popatrzył na nią i ze smutkiem wypowiedział takie słowa: „Pomiędzy tą złotą kołyską a łóżem, na którym wkrótce skończę, ciągnie się ponad dwadzieścia lat życia pełnego cierpień i nie-szczęść”. Tak. Piętno, znak znikomości i śmierci wypisane są na czole każdego człowieka. Może to jest nieprzyjemna prawda, ale prawda, fakt,

A dlaczego tak jest? Dlatego, że człowiek na początku swej historii oderwał się od Boga, dawcy życia i poszedł za głosem kusiciela — kłamcy, który podstępnie zapewniał: „Żadną miarą nie umrzecie śmiercią... Będziecie jako bogowie, wiedząc, co dobre i złe”. Rodz. 3, 4. Przez grzech pierworodny śmierć wešla na okrąg ziemi. Ziemia stała się wielkim cmentarzem, życie ludzkie jasnym promykiem światła pomiędzy nocą nicości i nocą „drugiej” śmierci, śmierci wiecznej, o ile człowiek nie nawiązał kontaktu z Chrystusem, dawcą prawdziwego życia.

Tylko w okół Chrystusa skupia się królestwo prawdziwego życia. Ten, który wskrzesił zmarłego młodzieńca Naim i martwą córeczkę Jaira, wypowiedział nad grobem Łazarza słowa: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot; kto we Mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie”. J. 11, 25. „Albowiem jak Ojciec ma żywot sam w so-

bie, tak dał i Synowi, aby miał żywot sam w sobie”. J. 5, 26. Chrystus Pan jest Bogiem żywym, pełnią życia, dlatego w Jego królestwie nie ma miejsca na śmierć. Stąd Pan Jezus mówi o sobie: „Ja przyszedłem, żeby żywot mieli i obficie mieli”. J. 10, 10.

Zaczątek tego życia prawdziwego daje nam Chrystus Pan na Chrzciznie św. Powołuje nas wtedy i uzdalnia do życia łaski uświęcającej, do życia nad-

EWANGELIA NA PIĘTNASTĄ NIEDZIELĘ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH (Św. Łukasz 7, 11—16)

Onego czasu: Szedł Jezus do miasta, które zowią Naim, a z Nim szli uczniowie Jego i rzesza wielka. A gdy się przybliżył do bramy miejskiej, oto wynoszono umarłego, jedynaka matki jego, a ta była wdową, i liczna rzesza miejska szła z nią. A gdy ją ujrzał Pan, ulitował się nad nią i rzekł jej: Nie płacz. I przystąpił, i dotknął się mar (a ci co nieśli, stanęli). I rzekł: Młodzieńcze, tobie mówię, wstań! I usiadł umarły, i począł mówić. I oddał go matce jego. A wszystkich zdjął strach i wielbili Boga, mówiąc: Prorok wielki powstał wśród nas, a Bóg nawiedził lud swój.

Z listu Ordynariusza Wrocławskiego

„Ten jest dzień, który sprawił Pan, pójdźmy i radujmy się oraz weselmy się w Nim” — takie słowa śpiewali Kościół katolicki w swej przepięknej liturgii na powitanie każdej niedzieli i zachęcał wiernych do pełnego uczestnictwa w służbie Bożej. Wielka radość i wesele przepełnia serce wrocławskiej archidiecezji. Na radosną wieścią pospieszam podzielić się dziś z Wami i obudzić w Waszych piersiach hymn radości i tryumfu, albowiem nastał dzień, który uczynił Pan. Serce religijnego życia wrocławskiej archidiecezji na nowo bić zaczęło. Dzień ten napawa radością i zachęca do kornej podziękności ducha Bożej dobroci. W historycznym dniu — 29 lipca obecnego roku — władarz Kościoła katolickiego na polskiej ziemi J. E. Ks. Prymas Stefan Wyszyński w asyście Episkopatu Polski dokonał poświęcenia prastarej katedry wrocławskiej odbudowanej i zdwigniętej z gruzów, rumowisk i popielisk wojennego zniszczenia oraz sponiewierania jej godności.

Przypominacie sobie zbyt wyraźnie chwile 1945 r., gdyście stawiali pierwsze kroki w zranionej śmiertelnie nadodrzańskej stolicy. Czy Wasze lekkie spoglądały na wygasłe popieliska i nie rozwiane całkorumowiska pięknego ongiś miasta, na niewieście kłębowiska czarnych dymów. W ciężkich warunkach zakładałście pielesze i gniazda powojennego życia. Większość śląskich świątyń leżała w gruzach. Katedra — matka wrocławskich kościołów i serce religijnego tchnienia archidiecezji — doznała strasznego losu.

W ciągu wieków katedra upiększana i strojona w barwy stylu każdego okresu spełniała szczytnie swą rolę i w twórczej pracy dotrwała do tragedii swych dziejów w 1945 roku. Działania wojenne otoczyły w Wrocławiu armii niemieckiej przyniosły katedrze zagładę, głównie z powodu przeznaczenia tej przepięknej świątyni na skład materiałów wojennych przez zaślepienie do-

przyrodzonego. Łaskami licznymi i przeróżnymi płynącymi zwłaszcza przez sakramenta święte wzmacnia w nas to życie prawdziwe. W nagrodę za życie Boże na ziemi daje pełnię życia tam po drugiej stronie, w zaświatach, w domu Ojca w niebie.

Na starochrześcijańskich nagrobkach bardzo często znaleźć można napis: „Żyje w Bogu”. W tym napisie uwidaczniała się przepaść dzieląca światopogląd chrześcijański od pogańskiego. Na nagrobku 18-letniej panienki w południowej Galii czytać można było tętnące niezłomną wiarą i nadzieją słowa: „Eufemia straciła śmierć, znalazła życie. Ponieważ na ziemi miłowała wyłącznie Dawcę życia, dlatego jest z Nim zjednoczona na zawsze w niebie.”

„Zabiegasz tak bardzo i czynisz tak wiele — mówi św. Augustyn — aby choć trochę później umrzeć; uczyni choć troszeczkę, aby nie umrzeć wcale”, aby żyć wiecznie; aby żyć życiem prawdziwym, które daje Chrystus Pan; życiem łaski uświęcającej tu na ziemi, a życiem wiecznej szczęśliwości w niebie.

Ks. Musiel Fr.

wództwo. Katedra legła w gruzach w 75% od wewnętrznych wybuchów.

Gdy ustał zgrzyt oręża po złowrogich latach wojny, polskie serce nie uległo pokusie rozpacz i bezwładu na widok poniżonej świątyni, ale nie zablźnione jeszcze dłonie od frontowych i obozowych ran, a oczy nieobeszłe od okupacyjnej udręki, zabrały się do pracy nad przywróceniem piękna i dostojęstwa piastowskiej świątyni w sercu archidiecezji.

Pomoc rządowa zabezpieczyła dachy i jego konstrukcje, a serce wiernego ludu polskiego włożyło w tę świątynię wszystko. Przez cztery lata rozbrzmiewał tu stuk młota kamieniarskiego mistrza nad wykonaniem przepięknych rozet, maswerków, koronek, kapiteł, misternie łałał strzepy ścian i kolumn, trudził swe dłonie w obfitym pocie murarz w wznoszeniu strzelistych sklepień, nie żałował sił robotnik przy usuwaniu śladów spustoszenia archidiecezjalnej świątyni. Odbudowa kosztowała wiele pracy i poświęcenia. Po największym z notowanych dotychczas zniszczeniu katedry wrocławskiej ofiarność polska przywróciła jej najszybciej dawny wygląd i piękno.

Wielkie dzieło odbudowy katedry wrocławskiej jest już poza nami. Bóg błogosławił sprawie świętej. Wierni okazali pełne zrozumienie dla potrzeb archidiecezjalnej świątyni. Nie możemy jednak powiedzieć, że już wszystko skończone.

Potrzeb jest jeszcze wiele.

Ale ufam, że te „wdowie grosze” polskiego ludu dopomogą do przywrócenia pełnego piękna matki kościołów wrocławskiej archidiecezji. Z podziękowaniem za dotychczasowe datki proszę o dalszą pomoc dla naszej centralnej świątyni.

Królowa Polski niech Wam błogosławi za dotychczasowe poświęcenia i znoje.

Uroczyste poświęcenie Katedry Wrocławskiej

Któż, będąc zaraz po wojnie we Wrocławiu, nie pamięta tych przerażających ruin, wypalonych domów, sterzających ku niebu wysokich ścian kościołów bez sklepień, z obwalonymi wieżami, smutnych świadectw okropnych następstw wojny? Kierując swe kroki na Ostrów Tumski, ku prastarej Katedrze św. Jana Chrzciciela, można w owym czasie ujrzeć z niej było jedynie żalosne zwłiska gruzów, utracone wieże, potrzaskane ściany, zerwane sklepienia. Trudno było wówczas przypuszczać, że ten w 70 % zniszczony kościół zostanie w krótkim stosunkowo czasie przywrócony do życia, że znów stanie się przybytkiem Boga.

A był nim on już przecież od XII wieku, kiedy to została na tym miejscu wybudowana romańska świątynia, zanim później nie wyrosła z niej potężna gotycka Katedra. Tkwiąc w swoich początkach i długo potem w granicach państwa polskiego, Katedra wrocławska wyrastała pod niemałym wpływem kościołów krakowskich. Każdy wiek dorzucał do niej coś nowego. Niemcy, późniejsi władcy Wrocławia, restaurując świątynię, nie omyślili oczywiście, z właściwym sobie brakiem smaku, oszpecić niektórych jej części. Od najazdu szwedzkiego omijały ją większe zniszczenia i tak przetrwała ona do naszych czasów. Trzeba było dopiero kataklizmu ostatniej wojny, który z Katedry uczynił ruinę, aby na nowo, tak jak przed wiekami, opowiadana w niej była w polskiej mowie Ewangelia św., i by lud mógł się w niej modlić językiem swoich przodków. Zaiste ogromną cenę kazała sobie zapłacić za to historia. Zrozumiała ją dobrze ludność tych ziem, która, od pierwszych chwil swego na nie powrotu, przystąpiła do pracy nad odbudową tego, co hitlerowcy pozostawili w ruinach.

Nie było chyba rzeczą przypadku, że o bok odbudowy obiektów przemysłowych główną troską zostały otoczone świątynie. W tej sprawie zapanowała naprawę budująca jedność i współpraca czynników państwowych i kościelnych. Wynik jej wiadomy. Świadczą o niej setki odbudowanych świątyń, a z nich ostatnia, Macierz kościołów Dolnego Śląska, Katedra p. w. św. Jana Chrzciciela we Wrocławiu.

Do odbudowy jej przystąpiono już w kilka lat po zakończeniu działań wojennych. Nie podyktowała jej jednak potrzeba zapewnienia opieki duszpasterskiej dla katolików zamieszkujących Ostrów Tumski i okolice. Wszak obok katedry oddawna został oddany do użytku kościół św. Krzyża. Dla wszystkich było rzeczą jasną, że przywrócenie do życia tej świątyni, w której, ze smutkiem trzeba to powiedzieć, padały nie raz słowa przeciwko Polakom i Polsce, będzie miało znaczenie wymownego symbolu — trwałego powrotu Wrocławia do Polski, objęcia ziem Dolnego Śląska, wbrew wszelkiej propagandzie, na zawsze. Ogromna żywotność Polaków, jaką się obserwuje w całym kraju i na Ziemiach Odzyskanych, znalazła swój wspaniały wyraz w odbudowie Katedry wrocławskiej. — Państwo przyszło odrazu z pomocą powstającej z gruzów Katedrze, nie szczędząc grosza ani materiałów budowlanych. Z pomocą pieniężną przede wszystkim pospieszyła zaś zawsze ofiarna ludność Dolnego Śląska oraz duchowieństwo. Dary na odbudowę Katedry płynęły niemal z całej Polski. Ogromną troskliwością otoczyli odbudowującą się świątynię architekci i konserwatorzy, rzeźbiarze i artyści malarze, witrażyści, majstrzy i zwykli pracownicy murarscy. Któż zdola w słowach oddać wysiłek każdego, nawet najskromniejszego robotnika zatrudnionego przy odbudowie Katedry? Ież

trzeba było włożyć wysiłku, aby na czas uporządkować ogromne wnętrza Katedry, w której prowadzone były ponadto prace wykopaliskowe, ustawić piękne organy wzięte z Hałi Ludowej we Wrocławiu, zawiesić na potężnych wysokich wieżach nowe dzwony! Nikt nie zwracał w ostatnich dniach uwagi ani na czas, ani na wyczerpanie fizyczne. Przy odbudowie pracowali nie tylko świeccy, ale również wielu księży. Przecież klerycy z obu Seminarium Duchownych we Wrocławiu także z zapalem odgruzowywali swoją Katedrę. Od robotnika do obecnego Rządcy Archidiecezji Wrocławskiej, Wikariusza Kapitułnego ks. prałata Kazimierza Lagosa, wszystkich ożywiła gorąca wiara w Boga, na chwałę Którego przede wszystkim dźwignięta została z ruin prastara świątynia wrocławska, oraz mocne przeświadczenie w wielkość dokonanego dzieła. Obecne i przyszłe pokolenia będą mogły być słusznie dumne z niego, jest ono bowiem świadectwem wielkiej i niespożytej siły moralnej narodu polskiego.



Katedra wrocławska przed wojną.

Uroczystość poświęcenia Katedry w dniu 29 lipca 1951 r. przekształciła się w potężną patriotyczną i religijną manifestację ludności Wrocławia i Dolnego Śląska. Uświetniło tę uroczystość przybycie na nią wielu Biskupów polskich z J. E. ks. Arcybiskupem Wyszyńskim, Prymasem Polski na czele oraz delegata Rządu R. P., nadając jej znaczenie ogólnopolskie.

J. E. ks. Prymas powitany został uroczysto i serdecznie już w sobotę 28 lipca w Brzegu, na granicy Archidiecezji Wrocławskiej, przez jej Rządcę, Wikariusza Kapitułnego ks. Lagosa.

W niedzielę o godz. 7-ej rano ks. Biskup Franciszek Jedwabski, sufragan poznański dokonał konsekracji głównego ołtarza w Katedrze. Jest to stary zabytkowy, piękny ołtarz gotycki z Lubinia Śląskiego. O godz. 10-ej do Katedry przybył J. E. ks. Prymas. W otoczeniu Dostojnego Gościa znajdowało się wielu biskupów, jak ks. biskup Klepacz z Łodzi, ks. biskup Kałwa z Lublina, ks. biskup Choromański sekretarz Episkopatu, ks. biskup Jedwabski i inni. Po poświęceniu murów katedry ks. Prymas wszedł do wnętrza Katedry witany przez chór katedralny potężną pieśnią „Ecce sacerdos magnus”. Przed głównym ołtarzem zasiadł delegat Rządu R. P. Minister A. Bida. Ks. Prymas zajął miejsce na tronie. Przybyło księdza Prymasa Polski, delegata Rządu R. P., ks. Biskupów, duchowieństwo oraz wszystkich zgromadzonych wiernych, którzy nie pomieścili się w obszernej Katedrze i zwrtała masą otoczyli ją na zewnątrz przywitał Wikariusz Kapitułny Ar-

chidiecezji Wrocławskiej ks. prałat Lagosz, dzięki ks. Prymasowi i ks. Biskupom za uświetnienie swoją obecnością tej uroczystości, Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej za udzieloną wszelką pomoc przy odbudowie Katedry, a następnie władzom wojewódzkim, miejskim, wszystkim zatrudnionym przy odbudowie pracownikom, duchowieństwu oraz wiernym, których wspólny wysiłek pozwolił wreszcie doprowadzić dzieło do końca. Z ust ks. Lagosa padały niezliczone nazwiska architektów, malarzy i rzeźbiarzy, majstrów murarskich i kamieniarskich, tych, którzy w czymkolwiek przyczynili się do odbudowy. Gorące słowa skierowane zostały również do ludności Śląska, który sam będąc na dorobku, nie szczędził pieniędzy na Dom Boży, na swoją Katedrę.

Po powitalnych słowach ks. Lagosa odprawiona została przez J. E. ks. Prymasa uroczysta pontyfikalna Msza św. Piękne, niezwykle podniosłe kazanie w czasie Mszy św. wygłosił ks. biskup Klepacz, ordynariusz łódzki. Powiedział on, że przez jego usta cały Episkopat Polski wyraża swą wielką radość z odbudowy Katedry wrocławskiej, symbolu i świadectwa polskości Ziemi Zachodnich. Związanie ich z całą Polską w jedną, nierozzerwalną całość jest stałą i główną troską Episkopatu. Jest też, troską ks. Prymasa, który osobiście referował bardzo dokładnie te sprawy Ojcu św., Piusowi XII w Rzymie. Kościół w Polsce — mówił ks. biskup Klepacz — uważa, że po wielu latach niesprawiedliwości dziejowej, przez powrót Ziemi Zachodnich do Macierzy, naprawiona została ogromna moralna krzywda wyrządzona kiedyś Polsce przez niemieckich zabórców. Święto zatem Wrocławia jest dziś równocześnie świętem całej Polski, całego narodu polskiego.

Ale powrót Ziemi Zachodnich do Polski jest też dziełem Opatrzności Bożej. Dlatego to Kościół mimo ciężkiej żałoby w jakiej jest pogrążony po zgonie ś. p. Kardynała Sapiehy, którego pogrzeb odbył się w dniu 27 lipca br. a więc na dwa dni przed uroczystościami we Wrocławiu, cieszy się jednocześnie z przywrócenia do życia tej pięknej, prastarej świątyni, tego wspaniałego dzieła ludzkiej pracy, umysłu i ducha. Ma ona tu właśnie, w polskim Wrocławiu — mówił dalej ks. biskup Klepacz — służyć Bogu Wiekiemu, prawdzie o polskości tych ziem i nieśmiertelnym ludzkim duszom ku zbawieniu wiecznemu. Bóg niech błogosławi całemu narodowi polskiemu, z takim trudem poświęceniem i zaparciem się siebie odbudowującemu kraj cały — zakończył swoje kazanie ks. biskup Klepacz.

Po skończonej Mszy św. przemówił od cithary ks. Prymas, przekazując świątyni wrocławskiej pozdrowienia od prastarej prymasowskiej bazyliki w Gnieźnie i od odbudowanej katedry św. Jana Chrzciciela w Warszawie oraz składając serdeczne życzenia całej ludności Dolnego Śląska, takiej ofiarnej, pracowitej i tak głęboko wierzącej.

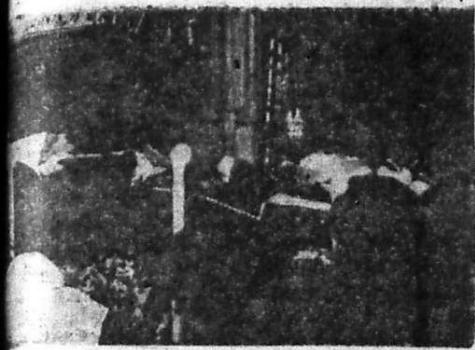
Piękną, niezapomnianą uroczystość poświęcenia Katedry wrocławskiej zakończona została wspólnym odśpiewaniem przez wszystkich wiernych „Boże coś Polskę”.

Thymy ludności długo nie chciały jeszcze opuścić murów świątyni, której ostateczna odbudowa potrwa jeszcze parę lat.

Wieczorem tego dnia odprawione zostały w Katedrze uroczyste nieszpory, a w poniedziałek 30 lipca nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Kardynała Sapiehy.

Również wieczorem 29 lipca w gmachu Seminarium Duchownego we Wrocławiu odbyło się spotkanie gospodarzy tego terenu, Wikariusza Kapitułnego ks. Lagosa i ks. ks. dziekanów z Archidiecezji wrocławskiej z J. E. ks. Prymasem Stefanem Wyszyńskim oraz z ks. Biskupami przybyłymi na uroczystość. W spotkaniu wziął udział także delegat Rządu R. P. Minister Antoni Bida. (sk)

POD ZNAKIEM ŻAŁOBNEJ DEFILADY

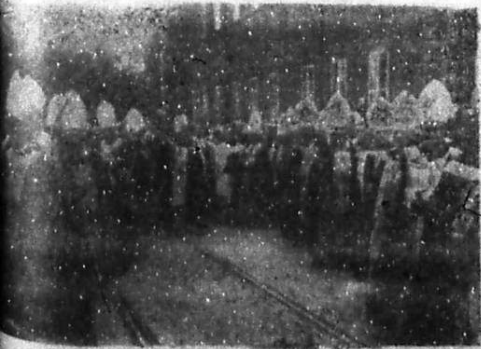


Zwłoki s. p. Kardynała Sapiehy
w kościele OO. Franciszkanów.

Ostatni tydzień lipca w Krakowie upływał pod ciężkim strapieniem i głęboką żałobą, w którą okrył go zgon Księcia Kardynała Adama Stefana Sapiehy. Ten żalostny nastrój rozpoczął się już dnia 23. VIII o godz. 7.15 rano, gdy ponura wieść obiegła miasto. Ludzie nie chcieli wierzyć, że ich najukochańszy Arcypasterz nie żyje i przychodzili sami stwierdzać tę przygnębiającą wiadomość.

Żyje przecież jeszcze pokolenie pamiętające akcję miłosierdzia Książęco-Biskupiego Komitetu, zwanego krótko „K. B. K.”, która prócz doraźnej, a jednak wydatnej pomocy nieszczęśliwym, dała społeczeństwu polskiemu takie trwałe instytucje jak zakłady dla dzieci chorych na jaglicę w Witkowicach pod Krakowem i dla dzieci gruźliczych w Zakopanem. Lecznice te przekazał ówczesny biskup A. S. Sapieha Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, który je do dziś prowadzi z wielkim pożytkiem społecznym.

Humanitarna działalność w czasie pierwszej wojny światowej rozpoczęła ogłoszeniem listu w prasie krajowej i zagranicznej o ratunek dla cierpiącej ludności, odbiła się szerokim echem. Osuchowski, Padęrewski, Sienkiewicz poparli tę akcję na terenie międzynarodowym. W kraju stanęli do współpracy znani profesorowie Uniwersytetu i wielu innych ludzi dobrej woli. K. B. K. zaczął działać i był — jak pisał ksiądz redaktor profesor Piwowarczyk w „Tygodniku Powszechnym” z dnia 29. VII. br. Nr 30/332 — jakby połączonym Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej. Charytatywna działalność biskupa Sapiehy została nagrodzona przez Polską Akademię Umiejętności w 1915 r. Nagroda ta poszła w całości, tak jak i osobiste zasoby na dalsze wsparcia potrzebującym.



Arceybiskupi i Biskupi polscy na pogrzebie
Księcia Kardynała Sapiehy przed pałacem
arceybiskupim w Krakowie.

Fot. (jj)

Tak jak w czasie pierwszej wojny światowej K. B. K. ratował wszystkich ludzi, dotkniętych jej klęską bez różnicy wyznania i narodowości, tak też po śmierci Kardynała odwdzięczali mu się oni, biorąc udział w ostatniej hołdowniczej defiladzie. Zabrzmiał pożegnalny hejnał, odegrany przez trębacz Zmarłemu Księciu Kościoła Kardynałowi Sapieżę, a zawtórował mu głos dzwonu Zygmunta.

W piątek dnia 27. VII. od wczesnych godzin zachmurzonego poranka rozpoczęły się nabożeństwa żałobne przy zwłokach i bocznych ołtarzach oraz na dziedzińcu wawelskim. O godzinie 6-ej rano rozkołysał się znowu żałobnie dzwon Zygmunta, dając znak, iż pierwsza Msza św. odprawia się za Zmarłego Kardynała. O godz. 10-tej wyszedł z żałobną sumą ksiądz arceybiskup Jalbzykowski, po niej zaś wygłosił kazanie ksiądz arceybiskup Wyszyński, Prymas Polski. To przemówienie uczonego i współpracownika Zmarłego, trzeba było w całości słyszeć, by zrozumieć jego głębię, piękno i poznać odmalowaną na jego tle postać Kardynała Sapiehy, tudzież stratę, jaką ponieśli wierni.

Po odśpiewaniu przepisanych modłów przez paru biskupów, trumnę Zmarłego wynieśli południowym wejściem księża w otoczeniu 30 biskupów, kapituły katedralnej, przedstawicieli Uniwersytetów (Wydziałów Teologicznych), rodziny, by wnieść ją z powrotem głównym wejściem przed ołtarz z trumną św. Stanisława biskupa i męczennika, gdzie po odprawieniu ostatnich modłów przez księdza Prymasa Wyszyńskiego i odmówienia przez tegoż wraz z wiernymi „Ojcze nasz i Zdrowaś Maryjo” oraz „Wieczne odpoczywanie” za królów spoczywających w tych kryptach, odśpiewaniem „Anioł Pański”, zakończyły się także smutne uroczystości pogrzebowe, w których reprezentował Rząd minister Antoni Bida Dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań.

Tłumy publiczności krakowskiej i przyjezdnej, jakie towarzyszyły smutnym obrzędem pamiętały swego niezłomnego Arcypasterza, który był ich ostoją także i w czasie drugiej wojny światowej. Bronił honoru Polski, stojąc nieugięty na straży jej



Ks. Prymas Wyszyński prowadzi kondukt
pogrzebowy. Drogę zasypało kwiatami.
Fot. (jj)

niepodległości, protestując przy każdej okazji wobec okupanta, co rozpętał najniższe instynkty w swym narodzie i dążył do całkowitej zagłady Polaków i ich dorobku kulturalnego. Zorganizował w tym celu specjalny system łapanek, obozów śmierci, mydlarni z tłuszczu ludzkiego, krematoriów, zniszczywszy w ten sposób miliony ludzi. Oświęcim, Treblinka i dziesiątki innych obozów koncentracyjnych, to aparaty do głodzenia niewinnych ludzi, wśród których nie brakło katowania starców, dzieci i kobiet. W takich tragicznych czasach dla Polaków, oczy wszystkich zwracały się na Metropolitę krakowskiego. — Nie dziwi nikogo napis na wieńcu (jest ich conajmniej setka) „Najdostojniejszemu Ojcu i Opiekunowi dorożkarze krakowskie” lub na innym „Drogiemu i Nieodżałowanemu Gaździe Księciu Kardynałowi i Metropolicie Krakowskiemu parafia Zakopane” i tym podobne. Jest między tą ilością wieńców i konsula francuskiego z tekstem francuskim „Concul de France”.

O działalności wychowawczej kleru przez Zmarłego i jego staraniach o beatyfikację Polaków i wyniesienie ich na ołtarze oraz o wielu innych czynach zgasłego Kardynała można by jeszcze wiele stron napisać. Uczynia to napewno bardziej do tego powołani ode mnie.

Marian Padachowicz.

Złote myśli

„Człowiek zawdzięcza swą wielkość i piękność, lecz także swą brzydotę swej duchowej możliwości sięgania poza szranki natury, swej inteligencji i swej wolności. Tym samym dana mu jest możliwość wprost nieograniczonego postępu aż do Boskiej niemal doskonałości, lecz także możliwość bezprzykładnego upadku i zatracenia. Istoty człowieczeństwa nie można nie podziwiać, lecz jednocześnie można ją nienawidzić. Ma ona bowiem w sobie powab i piękno podobne pięknu Bożemu, a jednocześnie może mieć w sobie tyle zwyrodnienia, że skutkiem niego ziemia staje się piekłem i miejscem pobytu potępionych.”

Piotr Lippert S. J.

(Z pracy „O człowieku religijnym”)

„Modlitwa jest początkiem, środkiem i końcem dobra wszelkiego. Modlitwa oświeca duszę i przez nią dusza rozróżnia dobro od zła. Każdy człek grzeszny winien by tak modlić się, nieustannie dzień cały z zapalem serca, to jest prosić Boga pokornie, by mu dał doskonale poznanie nędzy własnej i grzechów swoich, jak i dobrodziejstw, które odebrał i odbiera od Boga dobrego. Lecz człowiek, który nie umie się modlić, jakże poznać może Boga? A wszystkim, którzy zbawieni być mają, jeśli są ludźmi prawdziwego rozumu, należy nade wszystko nawrócić się ostatecznie do modlitwy świętej.”

Z „Kwiatków św. Franciszka z Asyżu”.

OPIEKUN GINĄCYCH

Błogosławione, święte dni przeżywał Kraków roku Pańskiego 1435. Na zaproszenie króla Kazimierza Jagiellończyka i wielkiego i głośnego w Polsce i świecie kardynała Zbigniewa Oleśnickiego zawitał do prastarej siedziby Piastów dostojny gość Jan Kapistran, wikariusz generalny zakonu św. Franciszka, człowiek w świecie głośny ze świętości życia i wielkiego umysłu. Przybył człowiek, którego podziwiał i którym zachwycał się świat ówczesny, człowiek, którego wyniosł Kościół później na ołtarze świętych Pańskich.

W dni one lud Krakowa przeżywał radość wielką. Wyległy na powitanie dostojnego gościa tłumy Krakowian, pełne podniecenia i ciekawości. Każdy chciał być bliżej drogi, któregoś miał przechodzić sławny gość. Każdy chciał ujrzeć z bliska jego twarz i zapamiętać ją sobie. Każdy był ciekaw, a ciekawość podnieca.

Na ulice Krakowa wyszły uroczyste procesje ze sztandarami i chorągwiemi, wiedzione przez kapłanów i największych dostojników Kościoła. Powitać gościa wyszedł i król w otoczeniu dostojników Państwa.

Tłumno było i gwarno. Wśród tłumów było wiele młodzieży wszelkiego wieku, żaków, i studentów wszechnicy, założonej przez czczoną i z żalem wielkim wspomnianą królową Jadwigę.

Św. Jan Kapistran pozostał dłużej w stolicy Piastów. Na prośbę kardynała Oleśnickiego i króla podjął się głoszenia nauk ludowi polskiemu, który mu się bardzo podobał i który ujął go za serce.

Co też to były za nauki! Co za potęgą i siłą słów świętego męża. Wstrząsał sumieniem Krakowa, walił w nie taranem, rwał dusze i podrywał w górę do Boga. Przez Kraków przeszła iskra Boża, dziwne a wielkie rzeczy czyniąc.

Zgromadzały się nieprzeliczone rzesze, w napięciu słuchając. Zgromadzały się tłumy z zapartym oddechem przyjmując posiew Bożego ziarna. Na czas kazań wielkiego syna św. Franciszka marło życie w Krakowie, ustawał handel, zamykały się sklepy, warsztaty, pracownice, kto żył spieszył słuchać.

Błogosławił Bóg słowom św. Jana Kapistrana. Działy się pod ich wrażeniem rzeczy przedziwne. Nawracali się zastarzały grzesznicy, żyjący od lat w nabożach grzechu, wracali do wiary ojców niewierzący, rozpustni porzucali złe życie, zli stawali się lepszymi, rozhułkana młodzież zmieniała swobodne życie. Wielu pod wpływem kazań świętego męża oddało się całkowicie i wyłączenie na służbę Panu.

Do słuchaczy wielkiego mówcy należał i młody człowiek Szymon z Lipnicy. Była to dusza dobra i szlachetna. Snł mu się różne plany życiowe, marzyły się różne drogi, ścieżki się różne ścieżyny dalszego życia. Był młody, pełen energii i sił. Rwał się do życia i czynów. Przeżył się młode skrzydła do szerokich lotów. Obejmował nimi swą Ojczyznę, którą gorąco kochał. Chciał służyć Polsce i Bogu.

Jak Kraków tak i Szymon z Lipnicy z uwagą słuchał wielkiej siejby Bożego męża.

Otworzył swą duszę na oścież na ziarno wysłannika Bożego. Dobra była rola. Ziarno padało na niwę właściwą.

Wpływ św. Jana Kapistrana na młodego Szymona jest decydujący. Dotąd nie wiedział jeszcze jakimi pójdzie drogami życia. Teraz już wie. Wie wszystko, wie bez żadnych wątpliwości. Woła go Bóg na świętą swoją służbę, a Bogu jakżeż się sprzeciwiać? Ale on nie chce sprzeciwiać się Bogu. On chce Mu służyć i do tej służby spieszy z radością. Cóż dać mu może świat, którego cechą jest znikomość i marność? Cóż dać mu może świat, który tak lichy i nędznie płaci sługom swoim za najwytrwalsze nawet służby? Nie. Będzie służyć nie światu, ale Bogu.

Szymon z Lipnicy postanawia całkowicie poświęcić się służbie Najwyższego. Da mu wszystkie swoje młode siły i zdolności. Za przykładem wielkiego Jana Kapistrana wstępuje do zakonu Bernardynów, zakonu o ostrzejszej regule franciszkańskiej. Odtąd idzie drogami Boga, jako szary zakonnik, nie mający dla siebie niczego.

Pozostaje w Krakowie. Płonie mu dusza ogniem ofiary. Ten człowiek nie umie być nieczuły. Jest zakonnikiem wysokiego stylu. Jeśli służyć Bogu — to służyć mu całkowicie. Połowiczności nie uznaje. Wkrótce zadziwia zakonnych współbraci pobożnością, dobrocią, surowością, twardym życiem, umartwieniami. Jest to mąż wielkiej modlitwy, w której znajduje szczególną słodycz i upodobanie. Rozjaśnia się na niej jego twarz i tchnie dziwnym blaskiem. Obcowanie z Bogiem wyciska na jego twarzy specjalne piętno uduchowienia.

Szymon z Lipnicy czyta wiele i kształci się. Specjalnie studiuje i zagłębia się w Pismo św., tym żywym słowie Boga do ludzkości. Czerpie z niego swą wiedzę o Bogu, poznaje z niego dobroć Jezusa. Swym współbraciom często doradza, by korzystali z tej krynicy, objawionej, a zacerpnęli z niej miłość Bożą, pełnymi garściami.

Marzy mu się o Ziemi św., o pielgrzymce do owych błogosławionych miejsc, w których przeżywał Pan. Pragnie własnymi oczami oglądać grób Chrystusa i ucieść mękę Pana, na miejscu tej męki. Pragnienia o tej pielgrzymce spełniają się. Szymon pieszo pielgrzymuje najpierw do stolicy chrześcijaństwa, do Rzymu, a potem do błogosławionej ziemi, która wydała z łona swego Zbawiciela świata.

Nielada to pielgrzymka, gdy się pomyśli jaki wielki szmat drogi z Krakowa do owych miejsc świętych, celu pielgrzymki. Nielada to trud pieszo przemierzyć owe wielkie przestrzenie. Lecz jakże wielka nagroda dla pobożnego pielgrzyma. Ileż przeżył ten człowiek uczuć szczęśliwych i radosnych, gdy niemal rękami dotykał obecność Pana, gdy tyle miejsc uświęconych życiem Zbawiciela przypominało mu trud Chrystusa poniesiony dla odkupienia ludzkości. Zwiedzenie Rzymu i Ziemi Świętej jeszcze bardziej rozpalło ogień wiary w duszy Szymona.

Wraca do ojczyzny. Jego cnoty zwracają na niego uwagę przełożonych. Robią go mistrzem nowicjatu, czyli kierownikiem dusz, które poczuwają głos Boży, ze świata przychodzą do zakonu, by się poświęcić służbie Bożej. Trudna to i jakże odpowiedzialna

praca. Szymon daje ze siebie wszystko nowicjuszom, by rozpalili ich dusze ogniem, który czuje w swej piersi. Błogosławione to były czasy nowicjatu, kierowanego przez Szymona. Z jego szkoły, z jego kierownictwa rodzą się nowi święci jak Jan z Dukli i Władysław z Gielniowa, którym pierwsze ziarna doskonałej służby Bożej zasiał Szymon z Lipnicy.

Ale oto na Kraków przychodzą dni ciężkie i straszne. Wybuch w stolicy Polski morowa zaraza, owa straszna zaraza, która tysiącami kosiła istnienie ludzkie. Dla Krakowa nastają dni grozy, dni lęku, dni śmierci, dni przerażenia i trwogi. Kto może ucieka ze straszliwego miasta, w którym panoszy się śmierć. Szerzy się nędza ogromna. Masy ludzkie bez opieki, bez chleba, zdane na pastwę śmierci i męki.

Szymon z Lipnicy dopiero teraz pokazuje czym być potrafi. Dopiero teraz widzi Kraków, kogo ma w swoich murach. Ten człowiek dwój się, troi, mnoży, by nieść pomoc, by nieść wsparcie najnędzniejszym, bo opuszczonym i konającym. Gdy inni uciekają z miasta, on trwa na posterunku i idzie tam, gdzie najgorzej, gdzie najstraszniej. Błogosławia go konające, gasnące oczy umierających, błogosławia go ręce chorych, którym podaje chleb. Radością biją serca, gdy zjawia się tam, dokąd nikt nie odważyłby się pójść za żadną ludzką ceną, za żadne zapłaty światowe. Ale Szymon nie służy światu, on służy Bogu, on w tych biednych chorych widzi Chrystusa. I dlatego z taką radością spieszy do nich, nie bacząc, że lada dzień i on paść może ofiarą śmierci. Zyskuje szeroki rozgłos ojca ubogich. Zważ go, „lekarzem cudownym, pocieszycielem niebieskim“. Czeka na niego, proszą go do siebie. On idzie wszędzie. Gdzie bluźnią pociesza, gdzie giną podnosi dusze do Boga, który czeka na dzieci swoje i hojnością darów swoich napełnia tych, którzy krzyż ziemski z ufnością dźwigają.

Modli się sam i innych wzywa do pokuty, by ubłagać u Boga miłosierdzie.

W pracy dla chorych i ubogich zdiera swe siły do tego stopnia, że któregoś dnia pada z wymęczenia. Sądzą, iż umarł zarażony chorobą. Ale nie, Szymon żyje jeszcze, tylko pracować nie może. Zaczętki choroby już nosi. Z wycieńczenia i choroby umiera 18 lipca 1482 r. oplakiwany przez lud krakowski. Przed samą śmiercią prosi brata zakonnego, by pogrzebano go pod progiem kościelnym, chciał być deptany po śmierci na znak pokuty za grzechy życia.

Zwłokł błogosławionego w czasie najazdu szwedzkiego z obawy przed naruszeniem świętych relikwii przez Szwedów przeniesiono na Wawel, zaś w r. 1686 dnia 15. V. przeniesiono je w uroczystej procesji z powrotem z Wawelu do kościoła na Stradomiu, gdzie je złożono w marmurowym grobowcu.

Cześć błogosławionego Szymona z Lipnicy jest w Polsce wciąż zachowywana. Da Bóg, że nadejdzie czas, gdy Kościół św. wyniesie tego wielkiego sługę Boga i sługę cierpiących do rządu świętych swoich. Da Bóg, że kiedyś zobaczymy go w chwale świętych Pańskich.

Cześć jego trwa. Zachował się w pamięci potomnych jako ojciec ubogich i ginących. Jako ten, który bez miary ukochał człowieka, zwłaszcza tego człowieka cierpiącego, chorego, opuszczonego, biednego. B. A.

Miłosierdzie Boże nie zna granic

Było to w jednym ze szpitali polowych na froncie francuskim w czasie pierwszej wojny światowej. Przywieziono mnóstwo rannych, między innymi młodego żołnierza, który otrzymał postrzał śmiertelny. W obliczu wieczności spowiadał i zatrwożył się o los własnej duszy. Tak dawno temu już był u spowiedzi! A tu trzeba pożegnać się z życiem...

— Siostró, chciałbym księdza!

Księdza! Zakonnica spogląda na nieśczęśliwego, polykając łzy. Ogarnia ją szalona trwoga wobec tej znekanej duszy.

Księdza! — Wszyscy są na froncie, księża, kapłani i żołnierze. Tego wieczora nadejdą, może nawet niedługo. — A ten młody żołnierz, tak jak tyli innych z pośród trzydziestu rannych, leżących w wielkiej sali, może umrzeć, zanim powrócą.

Siostra pochyla się nad umierającym, powiada mu o skrusze i żalu za grzechy, — nie może stłumić żalu i płacze na głos:

— O Boże! Ze też nie ma księdza dla tych biednych umierających dzieci!

Siostra słyszy jej skargi i przywołuje ją:

— Siostró... tam... w głębi sali... jest ksiądz.

— Ksiądz? Jest tutaj ksiądz?

— Jest, ale chory... taki chory... obie nogi zmiażdżone, a przytem ranny w piersi i w ramię; padliśmy równocześnie, obok siebie, prawie dotykając się. To on mi dał rozgrzeszenie...

I jednym palcem, który pozostał u ręki, wskazuje w głąb sali, gdzie leży ksiądz.

Zakonnica biegnie do rannego, który nie widzi jej. Przed łóżkiem zatrzymuje się z wahaniem i szepcze:

— O mój Boże — to ten!

Opadają jej ramiona, a ten gest mówi o wielkim rozczarowaniu:

— To ten!

Nadzieja rozwiała się. Biedny młody proboszcz! Leży w omdleniu od rana, od chwili przybycia. Niepodobna obudzić życia w tym ciele o twarzą trupa. Nie umarł jeszcze, ale tak bliski zgonu! Przed chwilą lekarz badał go w czasie swej krótkiej wizyty i wskazując na kałużę krwi, w której był skapany, rzekł:

— Tu już nic nie poradzę, wszystko skończone.

I te posępne słowa brzmią jeszcze w jej uszach. Ostatnia nadzieja znika. Wszystko skończone! A tamten czeka pomocy i nie otrzyma jej!

Wtedy siostra, opanowawszy przerażenie, ufa w to, co niemożliwe, a co niekiedy urzeczywistnia się za sprawą Bożą, pochyla się tuż nad głową o zamarych rysach:

— Proszę księdza... Proszę księdza...

Jakiej nadprzyrodzonej mocy użył Bóg w pewnych chwilach wierze! Oczy umierającego otwierają się. Zakonnica, zebrawszy całą odwagę, znajduje siłę, aby powtórzyć umierającemu prośbę tamtego, który kona:

— Jeden nieśczęśliwy konający prosi o rozgrzeszenie.

Cicho tak, że ledwie można odgadnąć słowo, przyjmujące wzniósłoby zadanie na progu śmierci, szepce ksiądz-żołnierz:

— Zanieście mnie...

Czterech sanitariuszy podnosi łóżko i zwolna, unikając wstrząsów, które mogłyby przyspieszyć koniec, zanoszą pocieszyciela do tego, który czeka.

Niesiony ma oczy zamknięte. Siostra nie wie, czy to nie trupa już niosą...

— Tutaj! — wskazuje zakonnica. — Zbliżyć głowę do głowy... łagodnie, bez wstrząszeń...

Ksiądz ponownie otwiera oczy i spoglądając na towarzysza powiada mocnym głosem:

— Zbliżyć się, moje dziecko... spieszymy się... czas nagli...

Siostra miłosierdzia usuwa się. Zaczyna się spowiedź. Szept, słowa, które wymykają się z wyczerpanych ust. Obaj spieszą się; ponad nimi śmierć, licząca sekundy. Na bladych twarzach jakieś promienie, które zdają się tryskać z niewidzialnego ogniska. Wkońcu rozgrzeszenie.

Ksiądz skupia się. Resztką życia, która w nim drga, wypływa z głębin duszy, tłącej się w martwym prawie ciele. W ostatnim wysiłku chce wyprostować się, aby nad nawróconym wzniesić rękę błogosławiącą, symbol zupełnego odpuszczenia win. Ale ręka pozostaje nieruchoma, już ubezwładniona omdleniem, które paraliżuje członki.

Wtedy błagającym spojrzeniem wzywa ksiądz siostrę miłosierdzia:

— Siostró, proszę mi podnieść rękę.

Na łózkach podnoszą się ranni, aby zobaczyć scenę, jakiej nigdy nie oglądali.

Sanitariusze ukłękli, przejęci wielkością Bożego Miłosierdzia. I wszyscy spoglądają na tych dwóch konających, których dusze żyją i działają w dramacie, rozgrywającym się między ziemią a niebem.

Jan Czerepacha.

Byłem na wczasach

Piękna instytucja te wczasy! Ho, ho! Dawniej tego nie było. Jak tam robotnik albo skromny urzędnik miał trochę tego urlopu, to siedział w mieście, chyba że przypadkiem rodzinę miał na wsi. Ale i z tym też nie zawsze dobrze bywało — koby to tam na wiosce chętnie widział familianta, co mu się z żoną, babką i siedmiorgiem dzieci na głębie zwalił...

A teraz każdy jedzie jak hrabia. I to do najslawniejszych kurortów, w góry, nad morze, gdzie komu wola...

Otóż, przechodząc do rzeczy, pojechałem i ja. Dostałem skierowanie nad morze. Jeszcze morza w życiu nie widziałem, radowałem się jak dziecko...

Jak się jechało, jak w kolejce w naszym Związku po bilet stałem, jak nas tam w tym pięknym domu, sto metrów od morza rozmieścili, jak jeść cztery razy dziennie dawali — o tym to i pisać nie będę. Każdy kto był na wczasach, wie o tym tak dobrze jak i ja. A kto nie był — niech sam na wczasy jedzie, co mu tam będę opowiadał.

Opowiem wam za to o innym moim zmartwieńcu z tych wczasów. O zmartwieńcu takim, które sprawiło, że choć i pogoda była piękna i kąpiel przyjemna i karmili jak u mamy — po czterech dniach pojechałem zły do domu.

Zaczął się tak.

Nasze brzegi morskie, jak wiadomo, to nie skały, a wydmy. Żeby fale tych wydym nie splukiwały i nie zagrażały życiu osad nadmorskich, strzeże się je specjalnie, budując umocnienia z wikliny, sadząc specjalne trawy, wysiewając młody las. Rzecz piękna, mówiąca wiele o trosce państwa o dobrobyt narodowy.

Nabożnie, drżącymi rękoma, bierze siostrę z uszanowaniem ramię księdza i wyciąga je nad konającym:

— Diminus noster Jezus Christus te absolvat...

Głos zamiera na zboliałych ustach. Ale odruch woli opanowuje fatalne osłabienie i z warg apostoła wymykają się słowa ledwie dosłyszalne, szepcane ostatnim wysiłkiem:

— ...Ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti...

Cisza. Zakonnica spogląda na obu, poprzez zasłonę łez wydają się jej coraz bliżej...

Czeka jeszcze parę sekund, a potem, czując, że ramię ciąży a ciało ziębnie, pojmując, iż wszystko skończone: dzieło najwyższego poświęcenia — i życie.

Dwa westchnienia, złane w jedno, zwłastują kłęczącą kobietę koniec dwóch istnień dopełniających się równocześnie. W jednej chwili oddaje ducha i ksiądz i ten, którego zbawiał.

W oddali nieustający huk armat.

Obaj żołnierze odchodzą razem, po woj-skowemu, na rozkaz Pana.

Siostra spleta ich ręce i łączy ich palce więzami różańca.

(R. Gaell.)

Księża na polach walk Francji, str. 195).

Tymczasem co się dzieje. Przyjeżdżają nad morze różni wczasowicze i nie wczasowicze. Prawdopodobnie sami analfabeci, którzy się gdzieś w myślenie schowali w czasie akcji zwalczania analfabetyzmu — nie umieją bowiem odczytać gęsto umieszczonych tablic, na których wołowymi literami wypisane są ostrzeżenia i prośby, aby nie deptać młodych leśnych sadzonek. Gdzież tam, właśnie najwięcej tam ci wszyscy analfabeci leżą, obrywają, osypują wydmy, niszczą sadzonki, wyrrywają prety wikliny — jednym słowem, niszczą to wszystko, co ogromnym nakładem pracy i kosztów zostało zrobione przeciw nie dla czyjejś prywatnej przyjemności a dla ogólnego dobra.

Gadałem, przestrzegałem ludzi, wskazywałem im na szkodę, jaką czynią przeciw samym sobie. Gdzie tam! A bo to kto słuchał. Jedni patrzyli tylko na mnie jak na wariata i dalej robili swoje, inni brzydkim słowem poczęstowali, że i powtórzyć nie śmiem, a w końcu dwaj tacy młodzi to mnie po prostu, staro, stłukli po plecach.

Parę dni zamiast wczasować, kapać się, leżeć do góry brzuchem na plaży czy chodzić na wycieczki, warowałem u wejścia na te wydmy jak pies przy budzie. Nerwy to mnie się rozdygotały aż strach, wiadomo, przeczulony nieco jestem. Chudnąć zacząłem na oczach. A ci nic, jeno te wydmy ochronne deptali, niszczyli pracę rąk ludzkich, a ze mnie wysmiewali się tylko...

Szkoda było zdrowia. Musiałem z wczasów zrezygnować. Pojechałem z powrotem do domu. Tyle wspomnienia dobrego zostało, co po pani kierownicze — taką ci

„wałówkę“ mi dała, niby na drogę, że potem ledwo we trzy dni z Petronelą w domu zjedliśmy...

Ot jak skończyły się moje wczasy nad morzem.

Myślałem, że resztę urlopu w domu przesiedzę, ale dowiedziałem się w Związku, że jedno miejsce zawakowało wolne w turnusie wczasowym, który wyjechał w góry, na Ziemię Odzyskaną. Jeżeli mam chęć, mogę skorzystać, oczywiście, że tylko już jeden tydzień miałbym tej przyjemności.

Pomyślałem, czemu by nie skorzystać. Zawsze tydzień w górach, to nie byle-ko. A wydm żadnych ochronnych tam nie ma, to i powodów do nerwów nie będzie.

Pojechałem. Dolo moja, dolo! Tam znowu mało apopleksji nie dostałem. Znowu co krok to analfabeta.

Bo pomyślcie!

Rosły w tych miejscowościach górskich piękne krzaki rododendronów, dzikich a zali i innych przepięknych krzaków, bardzo rzadkich. Umilały one tam oczy, cieszyły ludzi. A strzegły ich ogólne przepisy górskie, zabraniające niszczenia tych rzadkich okazów. No cóż, kiedy te analfabety nie mogli tych ostrzeżeń przeczytać. I dawaj jeden po drugim łamać te krzaki. — Smutne ogłoszone łodygi z nich tylko w końcu zostały!

I tu już mniej pretensji mam do mężczyzn, więcej za to do kobiet. One to bowiem wszystkiemu były winne. Krzyknę taka: — Och, jaki piękny kwiat, tak chciałabym go mieć! — a tu już któryś amant szoruje do krzaka i łamie gałęzie. A jak już która była taka pokraka, że nikt dla niej kwiatka zrywać nie zechciał, to sama łaziła, parasolka sobie pomagając i gorzej kozy „ogryzała“ ten piękny krzak.

Myślałem, że ze skóry wyskoczę, tak mię złość spaliła. Gadałem, pouczałem i tutaj, nic nie pomogło. Myślałem już i stąd uciekać, ale rozsadek mi doradził: wszystkie te krzewy rosną nieco niżej. Gdybyś tak od rana uciekał w wysokie góry, nie widziałbyś zniszczenia i serce by mniej bolało...

Posłuchałem rozsądku. Wybrałem się raz i drugi w tatarniczą wycieczkę wysokogórską. Chociaż stary, ale jary jeszcze to jestem — siedłem pod górę nie gorzej od tych wszelakich młodych osiłków, których i tutaj nie brakło.

Myślicie, że tam na górze wypocząłem? A skądże, wcale nie. I tam bowiem pełno było analfabetów. Ci dla odmiany zrywali szarówki, kwiat już ginący, pielęgnowany bardzo. Za zrywanie grożą surowe kary. Ale cóż, kto tam na górze pilnuje. A te osiłki dawaj sobie zawody urządzać, kto więcej szarówek zerwie. I rwali je, oj rwali.

Nie doczekałem końca turnusu, uciekłem do domu, teraz mię Petronela leczy od nerwów, bo sobie mocno je uszkodziłem.

Ja zaś piszę do was o tym wszystkim i proszę, abyście pomogli zwalczać ten analfabetyzm w stosunku do natury. Nie niszczy tego, co jest naszym wspólnym dobrem, co służy wspólnemu celowi, co raduje i cieszy nasze oczy, co upiększa nasz kraj!

Bo jak tak dalej pójdzie, to zamiast nad morze i w góry, to na pustynię będziemy na wczasy wyjeżdżać!!!

Pierwszy Zjazd Katechistów w Gorzowie

W dniach od 2—5 lipca br. odbył się pierwszy zjazd katechistów w Gorzowie. Uczestników było 52. Referaty wygłosili: ks. prob. J. Krzyżkowski, ks. red. K. Łabiński — Dyrektor Wydziału Duszpasterskiego, ks. mgr Józef Anczarski — zastępca Dyr. Wydz. Duszpast., ks. prof. R. Wróbel, ks. mgr Maciej Szalagan — referent Kurii. Część ascetyczną przeprowadził ks. dr Józef Michałski, Oficjał Sądu Duchownego. Specjalnie na zjazd zaproszony został ks. prob. J. Krzyżkowski, kierownik szkolenia katechistów na terenie Diecezji oraz S. Dyrektorka z Polczyna-Zdroju.

Referaty budziły ogólne zainteresowanie i wywołały żywe dyskusje.

Poziom wypowiedzi był zadawalający, w niektórych nawet wypadkach wysoki. Na zakończenie przeszkolenia przybył serdecznie witany Ordynariusz Diecezji Gorzowskiej ks. prałat Załuszkowski Tadeusz.

W dzień 5 lipca wszyscy katechisci udali

się do Rokیتna, aby pokłonić się Matce Najświętszej, Patronce naszej Diecezji i Jej powierzyć całą swoją pracę. Wielu z nas pierwszy raz było w Rokیتnie. Proboszcz miejscowy ks. Z. Wenk powitał nas serdecznie i objaśnił nam historię cudownego obrazu. W czasie uroczystego nabożeństwa złożyliśmy ślubowanie wierności Matce Najświętszej, Kazanie ks. Dyrektora wstrząsnęło nami do głębi. Młode nasze serca zapaliły się chęcią pracy. Umysł nasz rozjaśniła prawda nauki Chrystusowej. Wola nasza nabrała siły. Wszyscy poczuliśmy się we wspólnych szeregach zdobywających dusze dla Boga.

Zadowoleni jesteśmy z tego zjazdu i kursu. Dzięki niemu pogłębiłmy zakres podstawowej wiedzy, odświeżyliśmy stare znajomości, poznaliśmy się wzajemnie. Wdzięczni jesteśmy organizatorom za tę tak korzystną imprezę.

Katechetka z Włuchowej.

Echo parafii świętego Krzyża w Koszalinie

Wzruszającą uroczystość przeżywaliśmy, my parafianie, parafii Świętego Krzyża w Koszalinie w pierwszą niedzielę lipca. Nie tylko kościół był wypełniony po brzegi, ale fronton kościoła był otoczony snopem ludzi.

Podczas tej uroczystości, a była to suma, troskliwy i zacny nasz ks. proboszcz poświęcał i ofiarowywał dzieci, te właśnie najmłodsze, Najświętszemu Sercu Pana Jezusa. Matki i ojcowie nie patrząc na trud i upał jaki w tym dniu panował, z bliższych i dalszych okolic jak Bielice Nowe, Stare, Mścice, Dobrze, Jamno, Niekłonicze i z samego Koszalina czym kto mógł na wozach, wózkach i rękach obocho dostarczyli swe najmłodsze pociechy do kościoła.

Kazanie ks. proboszcza pełne troski o dusze dziecka o jego wychowanie, a w końcu akt ofiarowania dzieci wzruszył nas do głębi.

Dziewczęta w bieli, chłopcy z kokardami na piersiach i świecami w rękach zgromadzili się przed kościołem, gdzie zostali powitani przez ks. proboszcza, a następnie procesjonalnie wprowadzeni do kościoła. Uroczysta Msza św., modlitwy dzieci przed i po Komunii św. wspólnie z kapłanem, rozdzielenie św. Hostii były wzruszającą chwilą. Uroczystość pierwszej Komunii św. była już drugą z kolei uroczystością, jaka odbyła się w naszej parafii.

Dwa lata istnienia parafii, to dwa lata wyteżonej pracy naszego zacnego kapłana ks. proboszcza Bilskiego. Objęty przez niego kościół z dziurawym dachem, bez okien, drzwi, z pustym wnętrzem, bez ołtarza, światła i sprzętu liturgicznego i kościelnego oraz opuszczony, pusty plac, zmienił się nie do poznania. Zbudowanie głównego ołtarza — sztuczny kamień, dwóch ołtarzy bocznych z marmuru, powiększa piękno harmonijne wnętrza kościoła. Zaprowadzono światło elektryczne, żyrandole, Stacje Męki Pańskiej i inny sprzęt kościelny a naokoło kościoła klomby, kwiaty i czystość. Najważniejsze, że to wszystko było sprawione nietaniami kosztem, bez długów. Nie należy zapominać, że troska ks. proboszcza Bilskiego o wyżej wymienione, dziś dokonane urządzenie, szła w parze z zaspokajaniem potrzeb duchowych parafian. I tak: była wizytacja ks. Administratora, uroczystość bierzmowania, wiele nauk rekolekcyjnych, nauki misyjne i ciągle nauki stanowe, a w tym roku specjalnie uroczysta procesja Bożego Ciała na nowej trasie. Dziś z zalem dowiadujemy się, że ks. proboszcz Bilski ma od nas odejść. I w tym miejscu na łamach naszego pisma chcemy zaznaczyć, że jego wódatstwo w ciągu dwuletniej pracy nad nami i kościołem dla chwały Bożej, złotymi literami zostało zapisane w naszych sercach.

W imieniu parafian, parafii Św. Krzyża
(—) Augustyn Wojciech

Zapisz się na członka KUL.



Dekanat Zielona Góra

O parafiach dekanatu zielonogórskiego jak dotąd mało pisaliśmy. Były wzmianki o jednej czy drugiej parafii. Dziś dajemy garść wiadomości o kilku parafiach tego dekanatu. O dalszych a szczególnie o samej Zielonej Górze, gdzie duszpasterska praca idzie z całym rozmachem, napiszemy później.

BOJADŁA, POWIAT SULECHÓW

Kiedy zobaczę nowego księdza, rzucam się nań jak pszczoła na miód, bo mi ksiądz Redaktor wciąż przypomina: Grzybowski, materiał z diecezji musi być co tygodnia; żebyś z ziemi artykuł i wiadomości wydrapał, co tygodnia z diecezji coś mi musisz dać. Rozkaz to rozkaz. Służyłem we wojsku i wiem co znaczy słuchać. Więc poluję na materiał z diecezji.

Teraz mi nawinął się pod rękę ks. proboszcz z Bojadła. Ogarnęło mnie trochę bojadło czy zechce ze mną gadać, bom taki bardzo ku wejrzeniu nie jest, choć nie chwając się mam poczciwe serce ale wałęśniało i gadam do rzeczy o co chodzi.

— A do Tygodnika? — mówi czcigodny ks. proboszcz, patrząc łaskawie — jeśli trzeba niech będzie, może i moi ludzie ucieszą się, jak co przeczytają o sobie. Nie mamy tam znowu co tak wiele pisać, ale wolna wola.

Więc spiesznie notuję.

Samej nazwy nie trzeba wywodzić skąd się wzięła. Wiadomo: Bojadła. Ma to swoje w naszym języku znaczenie. Ale wiem, że nazwy zwyczajnie mówią na przekór co innego, niż jest w rzeczywistości. Więc parafian Bojadła nie posądzam bynajmniej o żadne bojadła. Jestem przekonany, że we wszystkich okolicznościach życia są odważni i bohaterscy.

Parafia Bojadła liczy 2.000 dusz. Ludziska, nie patrząc na nazwę, zjechali się tu skąd się dało. Najbliżej było „pyrom“ więc nawalilo się ich tu najwięcej. Poza tym są z innych stron Polski.

Ks. proboszcz zwie się Mieczkowski Ildefons. Jest to kapłan starszy, urodził się w r. 1890, ma już sporo lat kapłańskiego żywota i kapłańskich trudów. Wygląda dosyć mizernie, spracowany i jak by schorowany. Pytam go o to. Machnął ręką.

— Wciąż choroba czepla się człowieka. I jak się trzymać mocno? Chciałby człowiek czemu nie? Ale nie poradzi. Nawala serce.

Wyrażamy współczucie ks. proboszczowi i pytamy dalej o parafię.

Dowiadujemy się, że kościół zbudowany w r. 1758, poświęcony po powrocie Ziemi Zachodnich do Macierzy 30. XI. 1945 roku. Odpust na św. Teresę od Dzieciątka Jezus.

Kościół poprotestancki. Wojna Bogu dzięki nie zniszczyła go, trzeba było tylko przebrać różne rzeczy, żeby po katolicku urządzić dom modlitwy. Powoli przy pomocy Bożej i ludzkiej ofiarności urządziło się wszystko jak należy. Dziś jest już ambona, którą sprawiono, jest tabernakulum, jest baldachim, są chorągwie, sztandary, naczynia liturgiczne i szaty. Kłupion kape, a konfesjonał ofiarowałam Klenica.

W roku 1946 przeżyciem głębokim dla parafii były Misje, przeprowadzone przez Opatów z Poznania. Ludziska się garnęły chętnie.

W roku 1949 znowu było inne przeżycie, także wielkie i ciekawe. Do Bojadła przyjechał Ordynariusz z Gorzowa, by dokonać

bierzmowania wiernych. Do dziś pamiętają ludzie te piękne chwile, kiedy przedstawił Kościoła św. wjeżdżał do swoich owieczek. Czy mieli ludzie w oczach ze wzruszenia. Do bierzmowania przystąpiło sporo wiernych. Widziało się nawet ludzi starych.

Rekolekcje są co roku. Tego roku Ojciec Ireneusz ze Wschowy, Franciszkanin głosił z pożytkiem słowo Boże, a dla młodzieży ks. Duch.

Żeby nie męczyć czcigodnego ks. proboszcza, dziękuję za tę parę chwil rozmowy i już mnie nie ma. Wiem, że trzeba wszystko robić dobrze, krótko i rzeczowo, zwłaszcza gdy się zbiera materiał do Tygodnika. Nudzić nikogo nie można.

Odcchodzę od ks. proboszcza pełen miłego wrażenia. „Bojadło“, które było na początku znikło całkiem. Postaram się przeto na przyszłość nigdy się nie „bojać“, bo to nie ma sensu. (G)

ŚWIDNICA

Jakie 9 km od Zielonej Góry rozciąga się wieś o nazwie Świdnica. Jest siedziba parafii, liczącej do trzy tysiące dusz. Kościół pod wezwaniem św. Marcina, gotycki, wybudowany w 1576 r. Parafia do obsługi niełatwa, bo na jej terenie znajduje się aż 9 czynnych kościołów, łącznie biorąc z kościołem parafialnym.

Kościół w Świdnicy należy do tych nielicznych na Ziemiach Odzyskanych kościołów, które były w rękach katolickich. Parafia katolicka w Świdnicy jest bardzo stara, zapiski podają datę 1365 r., w którym to roku parafia świdnicka już stanowi odrębną katolicką jednostkę. Wojna nie zniszczyła kościoła. Dzięki temu zachował się. A trzeba przyznać, że jest to kościół piękny. Niemcy zabrali z niego tylko dzwony. Odnowiony był stosunkowo niedawno, bo w roku 1928.

Parafianie Świdnicy wywodzą się z wielu stron Polski, zdaje się, że każda dzielnica naszego kraju ma tu swoich przedstawicieli. Najwięcej ludzi jest z okolic Konina.

Jak wszędzie tak i w Świdnicy wierni poczynili niemało wkładu, aby dom Boży urządzić jak najpiękniej i jak najmilej. Poprawiono organy, sprawiono baldachim, chorągwie, sztandar różańcowy; szaty liturgiczne w Świdnicy były.

W Świdnicy jest jeszcze i drugi kościół Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej. Sprawiono do niego ambonę, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej do głównego ołtarza, oraz obrazy św. Antoniego i Pana Jezusa w Ogróju. Odremontowano w nim także ołtarz. Proboszczem parafii jest ks. Terlikowski Władysław repatriant, oddany parafii prostą kapłańską duszą.

Nabożeństw każdej niedzieli i święta jest trzy. Nauka w szkołach dzieci religii jest w szkole w Świdnicy i Letnicy.

Głęboko wrota się w świadomość parafii misje urządzone w roku 1949. Były to wielkie dni gruntownego odnowienia dusz. Lud wierny garnął się na nauki, głoszone przez Kapucynów i licznie przystępował do Sakramentów św. Były to naprawdę dni wielkie dla parafii świdnickiej. Ich skutki Bogu dzięki dały się poznać w dalszym życiu parafii i oby jak najdłużej trwały. Ojcowie Kapucyni dali ze siebie wiele i zostawili ze siebie dobrą pamięć.

Misje odbywały się równocześnie w trzech miejscowościach a więc: w Świdnicy, w Letnicy i w Ochli.

Rekolekcje są każdego roku we Wielkim Poście. Ostatnio głosił je znany kaznodzieja ks. dziekan Terlicki, obecnie pracujący w Szczecinie. W roku ubiegłym głosił je ks. Pochwała z Zielonej Góry.

Ostatnio okazała się konieczność poprawy dachu świdnickiej świątyni. Uczyniono to.

W Ochli zbudowali wierni dzwonnice i sprowadzili dzwony. W Letnicy także nie było dzwonów, dzisiaj już są i miłym

(Dokończenie na str. 284)

Kościół i świat

— Nowi misjonarze do trędowatych. Z Neapolu wyruszyła grupa księży misjonarzy udających się do Australii. Przed wyjazdem odwiedzili sanktuarium Najświętszej Maryi Panny w Pompei. Grupa składa się z 7 Ojców Jezuitów, 6 Kapucynów i 2 Zmartwychwstańców. Wraz z nią wyruszyły także trzy siostry misjonarki na wyspy Salomonskie, gdzie pracować będą w szpitalu dla trędowatych.

— 40 chrztów w japońskim sanatorium. W ostatnich czasach daje się zauważyć ciekawe zjawisko — masowych chrztów w Japonii.

Miedzy innymi w jednym z Sanatoriów japońskich w Saijo zostało ochrzczonych 40 pacjentów, a jeszcze większa liczba przygotowuje się tam do przyjęcia chrztu św., ucząc się prawd wiary świętej.

W tymże sanatorium jeden misjonarz z Hirozimy codziennie odprawia Mszę św.

— O owocach Roku Świętego. W Rzymie ukazała się pamiątkowa książka o przebiegu i znaczeniu Roku Świętego 1950, napisana przez byłego sekretarza głównego komitetu obchodu roku jubileuszowego. Znaczną część wiernych stwierdza w niej autor, przybyła do Wiecznego Miasta nie w zorganizowanych masowych pielgrzymkach, ale indywidualnie lub w niewielkich grupkach, czując osobiście potrzebę zbliżenia się do Boga drogą zyskania odpustu jubileuszowego.

W Roku Świętym, który właśnie upłynął, modlono się więcej, modlili się wszyscy, modlono się ciągle. Rok Święty rzucił ziarno do nawrócenia świata, które dokona się w przyszłości wtedy, jeśli świat będzie umiał naprawić to płodne nasiono i doprowadzić je do owocowania. Aby się tak stało, trzeba przede wszystkim wierzyć w Boga i w Jego łaski, trzeba wierzyć i modlić się. Trzeba być tym pielgrzymem jubileuszowym zawsze, aby dojść do bram szczęśliwej wieczności, które tak długo nie zamykają się przed nami, dopóki człowiek pielgrzymuje do Boga.

— Trapiści w Afryce. Afryka coraz bardziej włącza się w katolicyzm światowy. Liczba nawróceń rośnie. A najlepszym dowodem rozwoju katolicyzmu jest fakt, że kilka kontemplacyjnych zakonów zaczyna się na „Czarnym Lądzie“ osiedlać. Należy bowiem pamiętać, że napród do krajów niecywilizowanych idą zakony misyjne, a dopiero gdy te grunt przygotowują, podążają zakony kontemplacyjne. I tak ostatnio przybyła z francuskiej Gwinyi grupa trapistów, którzy mają zamiar założyć klasztor w tym kraju. Przed niedawnym czasem w Dakarze osiedliły się karmelitanki bose.

— Holandia i misje. Holandia jest jak wiadomo jednym z krajów, które najwięcej świadczą na misje katolickie. Holenderskie stowarzyszenia religijne osiągnęły w r. 1950 liczbę 475.500 członków, gdy w r. 1949 liczba ta wynosiła 210.300. Stało się to na skutek kampanii w prasie i w kościołach na rzecz misji.

— Kapelania akademicka w Londynie. Przed 40 laty zamianowany został pierwszy kapelan akademicki dla słuchaczy uniwersytetu w Londynie. Od tego czasu działalność kapelanii rozszerzyła się znacznie. Obecnie współdziała z nią 2.500 studentów i studentek. W związku z rozszerzeniem jej agend przystąpiono do zaopatrzenia jej w potrzebne lokale. W dniu 30 stycznia b. r. kard. Griffin, prymas Anglii, dokonał poświęcenia domu, w którym odtąd mają się mieścić biura kapelanii. Jest to duży, 4-piętrowy dom w dzielnicy West End, mający piękne pokoje biurowe, salę na zebrania, salę teatralną i kaplicę.

(Dokończenie ze str. 283)

dźwiękiem napelniają wieś, gdy wzywają wiernych na wspólne modlitwy.

W parafii św. Józefa jest spora grupa ministrantów. Znaczący chłopczki, proboszcz ich chwali, że dobrze umieją ministranturę, że są chętni do posługi przy ołtarzu, że w ogóle są do rzeczy. Przy okazji wpadniemy do Świdnicy, aby ich zobaczyć.

KLENICA

Parafia Klenica jest na Ziemiach Zachodnich starą katolicką parafią. Kanonicznie erygowano ją 1782 r. Kościół obecny jest z roku 1793. Przepiękny kościół. Kiedy się stanie w jego wnętrzu napatrzyć się nie można. Zdumiewa się człowiek i prawie wierzyć nie chce, gdy słyszy, że przepiękna klenicka świątynia powstała jako przebudowa z wielkiego majątkowego śpichlerza. Przeróbki dokonano łącznie w sposób mistrzowski. Z zewnątrz kościół klenicki nie ma nic szczególnego. Całe jego piękno jest wewnątrz.

Jest bardzo wygodny dla ludzi. Cała parafia w największe święta przy największym zebraniu się ludności może wygodnie siedzieć w ławkach, gdyż kościół jest naprawdę wielki. Urządzenie kościoła piękne, wszystko wykonane w nim starannie, dokładnie, z poczuciem smaku. Bardzo ładna jest droga krzyżowa, piękne są figury, piękne dwa wielkie obrazy Matki Boskiej, wiszące z lewej i prawej strony ołtarza głównego.

Proboszczem parafii jest ks. Jan Wysocki.

Klenica miała niedawno ciekawe przeżycie. Oto odbyła się tu kongregacja księży dekanatu zielonogórskiego. Księża zebranych z ks. dziekanem na czele na plebanii, wprowadził uroczystie do kościoła z procesją miejscowy ks. proboszcz. Odbyło się nabożeństwo. Mszę św. odśpiewał ks. Wysocki, a kazanie o kapłaństwie Chrystusowym wygłosił jeden z dekanalnych księży. Miejscowi parafianie dość licznie wzięli udział w nabożeństwie.

Odpust w Klenicy w uroczystość Nawiedzenia N. M. P. W tym roku odbył się bardzo uroczysty.

Tygodnik Katolicki ma w Klenicy licznych przyjaciół i czytelników. Jest tu liczna grupa Rodzinki Tygodnika. Młodzi czytelnicy naszego pisma w Klenicy z zainteresowaniem czytają każdy numer pisma, a szczególnie część jego przeznaczoną dla najmłodszych czytelników.

Życie religijne rozwija się pomyślnie.

W Klenicy jest zgromadzenie zakonne SS. Niepokalanie Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Ich gościnny dom jest jednym z dziecinniejszych domów rekolekcyjnych naszej diecezji. W ciszy wiejskiej, w nastroju, spokoju dobrze przemyślać się odpowiadającym rekolekcje najważniejsze problemy życia ludzkiego.

Stacja znajduje się blisko. (G)

NIETKOWICE

O Nietkowicach pisaliśmy już w Tygodniku. W łączności z innymi parafiami dekanatu zielonogórskiego jeszcze to i owo dorzucimy do tamtej pierwszej notatki. Dusz ponad trzy tysiące. Kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Gotyk zbudowany w XVIII wieku. Do obsługi pięć kościołów i jedna kaplica. Proboszczem jest ks. Stefan Hura.

Parafian swoich chwali. Do kościołów na terenie parafii poczynili wiele wkładów. W Brodach sprawili młodzież sztandar

Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej, chłopcy w tychże Brodach sprawili sztandar św. Stanisława Kostki. Ostatnio kupiono w Brodach figurę do grobu Pana Jezusa, figurę Serca Pana Jezusa i figurę Matki Boskiej.

Kościół filialny w Pomorsku jest najbogaciej urządzone. Ma wszystko co jest do kultu potrzebne. Kupili wierni monstrancję, sprawili sztandary, zbudowali trzy ołtarze. Są pobożni i w tej miejscowości najczęściej chodzą do kościoła.

W samych Nietkowicach sprawiono obraz św. Antoniego, w zeszłym roku baldachim.

W Będowie sprawiono ołtarz główny. We wszystkich kościołach są stacje Drogi Krzyżowej.

Życie wewnętrzne dusz rozruszały misje, odprawione z wielkim pożytkiem w r. 1949. W r. 1950 była renowacja misji.

Dowiadujemy się, że w nietkowickiej parafii sporo ludzi czyta nasz Tygodnik Katolicki a najczęściej czytają go w Pomorsku.

Wszystkim czytelnikom Tygodnika z parafii Nietkowice zasylam od Tygodnika i od siebie serdeczne i miłe pozdrowienia. Ogromnie się cieszymy, że w parafii żyje duch Boży. (G)

CZERWIŃSK, POWIAT ZIELONA GÓRA

Proboszcza z Czerwińska złapaliśmy w Klenicy. Odrzućmy za kawałkiem papieru, przecież o Czerwińsku nie było jeszcze wzmianki w naszym Tygodniku. Czy zechce co mówić, czy nie, artykułik być musi. Na szczęście proboszcz nie jest w złym humorze i chętnie odpowiada na pytania, które mu zadajemy.

Najpierw przedstawimy ks. proboszcza z Czerwińska czytelnikom Tygodnika. Nazywa się Zofia Ignacy, wyświęcony na kapłana w r. 1940, lat zbyt wiele jeszcze nie nosi, to też trzyma się mocno i nie ma siwych włosów. W Czerwińsku jest od 19. III. 1946 r. Jest w pełni sił i sądzimy, że wykorzystuje je dla chwały Bożej i dla dobra dusz swojej parafii. A parafia liczy sporą grupkę tych ludzkich dusz, bo do 5.000. Jest koło czego i nad czym pracować, na jednego kapłana nazbyt starczy i zajmie mu czas bez reszty.

Sam Czerwińsk jest niewielkim miasteczkiem, mieszkańców ma około 1.300. Do kapłańskiej obsługi są cztery kościoły. Początkowo parafia była dużo obszerniejsza, obejmowała terytorium bardzo wielkie. Wykrojono z niej parafię Nietkowice, Lesznowo Wielkie, kawałek dołączono do Świdnicy i Bobrowic. Proboszcz miał szerokie pole do popisu.

Kościół w Czerwińsku pod wezwaniem św. Wojciecha. Wybudowany w roku 1885, poświęcony na świątynię katolicką 22. XII. 1945 roku.

PODZIĘKOWANIE

Zgodnie z danym przyrzeczeniem składam serdeczne podziękowanie Najlepszemu Sercu Jezusowemu i Matuchnie Niepokalanej za pomyślnie zdanie egzaminu dojrzałości.

Krzysztof Wojtowicz.

PODZIĘKOWANIE

Dziękuję Matce Najświętszej i Jej Ukochanemu Synowi za pomoc w nauce.
Maria Stojanowska.

ORGANISTY

posadę przyjmie dyplomowany. Pożądane organy — miasto. Oferty kierować: Legitymacja 31187 — Elbląg I. Poste-restante.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 6-9.

P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,90 zł, kwartalna 8,40 zł.

Tłoczono w Włkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 1078 — 2. 51.

K-2 — 15345 — 18. 8. 51. Druk ukończono 22. 8. 51.